

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Właściciele: Dr Michał Danielak i ks. Andrzej Szponder.

Wychodzi co sobotę.
Kosztuje rocznie 4 kor
półrocznie 2 kor.
Numer pojedynczy kosztuje
20 hal.
Listów nieopłaconych nie
przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej
dla ubogich prenumeratorów
„Obrony Ludu“ jest otwarte
codziennie rano i popołudniu.
Kraków, ul. Pijarska 2.
Redakcyja i administracyja
znajduje się w Krakowie
ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza
półszpaltowego.
Wszystkie listy i pieniądze
przesyłać należy pod adresem:
Administracyja „Obrony ludu“,
Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSZTUS!

Pr. III 152/2, 2. C. k. Sąd Krajowy jako prasowy na wniosek c. k. Prokuratora Państwa po myśli Nr. 493 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze 36 czasopisma „Obrona ludu“ z dnia 6 września 1902 artykuł pod tytułem:

„Krzywdy i nadużycia“ w ustępie od: „Panocek — że jednym“ do: „paści zabójczych“ str. 4 zawiera znamiona występku z § 502 u. k., że zakazuje się rozszerzania tego artykułu, zatwierdza się zarządzoną przez c. k. Prokuratorę Państwa konfiskatę pomienionego numeru a cały nakład tegoż ma być zniszczonym, albowiem w artykule tym autor pobudza poszczególne klasy społeczeństwa do nieprzyjaznych wystąpień przeciw ludności żydowskiej. — C. k. Sąd Krajowy jako prasowy. Kraków, dnia 6 września 1902. *Wawrausch.*

Tylko 1 korona!

Każdy nowy Czytelnik, który zaraz zapłaci 1 koronę, otrzymywać będzie „Obronę ludu“ co tygodnia aż do Nowego Roku. Pieniądze należy nadsyłać pod adresem: Administracyja „Obrony ludu“ w Krakowie ulica Pijarska l. 2.

Ratunek naszego włościaństwa konieczny dla uniknięcia
groźnych przesilen i wstrząśnień społecznych.

II.

W przedostatnim Nrze »Obrony ludu« zaznaczyliśmy, że stanowi włościańskiemu konieczne i to jak najrychlej kraj a zwła-

szcza Rząd centralny powinien pospieszyć z pomocą. Że włościanstwo z dnia na dzień ubożeje, że chyli się i szybkim tempem zdąży ku zupełnemu upadkowi, to się w każdej gminie, w każdej chacie i na każdym kroku jasno spostrzegać się daje. Zamożni sołtysi i bogaci kmiecie, u których w stajniach po kilkanaście sztuk bydła i po cztery, po sześć a czasem i po więcej sztuk koni stało, już prawie zniknęli i tylko o ich istnieniu opowiadają jeszcze ludzie wiekiem zgrzybieli starzy a wnuki i prawnuki tych magnatów wiejskich zaledwie z trudem opędzają się dzisiaj biedzie i niedoli. Zniknęły już szerokie łąny gospodarzy wiejskich, ciągnące się od granic do granic a natomiast widzi się dzisiaj wąziutkie pasy, jakby jakie wstążeczki, po kilka a rzadko już po kilkanaście stajaniczek, które tworzą terazniejsze gospodarstwa. Dzisiaj, gdy zajdziesz do wsi, nie zobaczysz spichrzy i obszernych stodół i stajen, ale liche szopy i maluczkie stodółki a to wszystko dowodzi wielkiego zubożenia włościan, dawniej nikt nie szukał chleba i pracy po świecie, bo było roboty i chleba dosyć we wsi a tylko zamożniejsi gospodarze wybierali się na dalekie i długie furmanki, z których przywozili trzosi rubli i bitych talarów do domu. Wszystko to znikło i pozostały tylko wspomnienia, o których sobie gospodarze opowiadają przy niedzielnych pogadankach lub w czasie zimowych wieczorów. Smutne jest teraz położenie włościan a tem smutniejsze, że się o nich nikt nie troszczy, nikt im nie spieszy z pomocą. Dzisiaj Rząd stara się tylko o wojsko, o urzędników i o sługi rządowe. Powiększa im już i tak duże pensye, daje im wysokie emerytury, troszczy się o ich żony i o ich dzieci, ułatwia im nabywanie spożywczych artykułów, daje zniżki na kolejach i wyświadcza inne dobrodziejstwa, jakgdyby państwo składało się tylko dla wojska i urzędników! A dla chłopca czy się co robi? Czy kto myśli o zabezpieczeniu jego w starości, czy się kto troszczy o jego żonę i o jego dzieci? Bardzo trafnie powiedział jeden poważny i bogobojny organista, że chłopu przybysza tylko podatek i nabożeństwo. A któż jest podstawą i siłą państwa jak nie chłop? A jeżeli tak jest, to państwo przedewszystkiem powinno się troszczyć o chłopca, bo jak ludu nie będzie, to i wojska nie będzie i urzędników i innych gryzipiórków nie będzie potrzeba.

A czy Rząd krajowy i Rząd cesarski robi co dla coraz bardziej ubożającego ludu? Zgoła nic, a jeżeli już co robi, to w tak drobnoucheńskich rozmiarach, że tego lud przy gniotących go ciężarach nawet odczuć nie może. Wdowy po chłopach i dzieci, jeśli im ojciec majątku nie pozostawił, tułać się muszą po służbach, szukają poza granicami kraju kawałka chleba a często padają bezsilne i marnieją fizycznie i moralnie, schodząc przedwcześnie do zimnej mogiły, która ich z bólem, jako wydziedziczonych z dóbr ludzkich, tuli do swego łona. Coraz ciemniejsze chmury gromadzą się ponad głowami ludu a znikąd nie widać świetlanej jutrztenki lepszej przyszłości!... Chłop patrzy na świat smutno i trzeźwo, bo serce chłopca ścisną smutek i ból wspomnienia o nim. Tylko na zgromadzeniach, tylko w gazetach czasem i na publicznych wy-

stępcach słyshy się szumne hasła: «ratujmy lud» ale poza temi pustemi frazesami, które nic nie kosztują i nic nie dają, właściwie nie się nie robi dla ulgi wzmagającej się nędzy chłopskiej. Oficer dumnie i wesoło pobrzaka szabelką, bo mu się dobrze dzieje, urzędnik kroczy z głową do góry bez troski o jutro, bo państwo o jego terażniejszości i przyszłości dobrze pamięta, tylko chłop zgarbiony i ze schyloną głową wlecze się powolnym krokiem, bo teraz mu źle i bieda a przyszłość czeka go jeszcze gorsza i przykrzejsza. Podczas gdy państwo dla jednych jest czułym, wyrozumiałym, hojnym dobrodziejem, to dla chłopca, mieszczanina, rzemieślnika i robotnika ma tylko karzącą sprawiedliwość, łańcuszki i ponure kazamaty więzienne. Gorzkie to lekarstwo nie nasyci głodnych ani nie okryje nagich. Tu państwo i władze krajowe powinny i muszą użyć innego lekarstwa, jeśli naprawdę chcą zapobiedz szerzącej się chorobie społecznej i wzrastającemu rozstrojowi społecznemu. Państwo musi sobie przypomnieć, że oprócz wojska, oprócz urzędników i innych rozlicznych funkcyjaryuszów rządowych jest także lud, najważniejszy czynnik państwowy, któremu się także jeść chce, który także chce żyć i który w państwie istnieje nietylko po to, aby dawał ale także aby i brał, jeśli tego zachodzi potrzeba. Do korzystania ze zasobów państwowych ma prawo przedewszystkiem lud, bo przedewszystkiem lud na nie pracuje.

—————
Ciąg dalszy nastąpi.

Strach przed oświatą!

—————

W innych krajach z radością witają władze i społeczeństwo wzmaganie się liczby uczniów w szkołach średnich, gdyż doskonale rozumiają, że im szerszem korytem popłynie oświata przez kraj, im szersze kręgi zatoczy wśród ludności uświadomienie i wiedza, tem lepiej dla kraju, bo to jest zapowiedź podniesienia się dobrobytu i wróżbą świetniejszej przyszłości. I całkiem słusznie, bo dzisiaj tylko nauka i oświata torują drogę do zdobycia sobie odpowiednich warunków do życia. Gdzie większa kultura tam większy dobrobyt, który naród ma większą oświatę, ten się też i lepiej ma. Dlatego w innych krajach coraz liczniejsze szkoły o różnych zadaniach i charakterze powstają, by jak najszerzej ludności ułatwić i uprzystępnąć zdobycie potrzebnej nauki czy to do służby państwowej czy do przemysłu i handlu czy to do rękodzielnictwa lub rolnictwa. Nic więc dziwnego, że w innych krajach oświata doszła już do takich wyżyn, do jakich my nawet za 100 lat nie dojdziemy a przemysł w różnych gałęziach i rolnictwo tak się tam rozwinęły, że u nas nawet się o tem nie śni! A wszystko się to stało przez naukę. Tam dobrobyt, bo tam jest oświata, u nas nędza, bo panuje na wszystkich polach ogromna i nieprzebyta ciemnota. Ale podczas gdy w innych krajach starają się o podniesienie oświaty i szczerze się cieszą z każdego postępu tejże, to u nas przeciwnie w wszelki możliwy sposób utrudniają drogę do zdobycia nauki już to przez wysokie opłaty szkolne, już to przez zaprowadzenie

kosztownych mundurków, jużto przez ograniczanie liczby uczniów a w tym roku poprostu zamknięto przed nosem bramy szkolne w Krakowie zgłaszającym się uczniom z różnych stron Krakowa! I czyż wobec takich warunków można myśleć o lepszej przyszłości dla kraju, gdzie przed oświatą sfery rządzące mają jakiś lęk i niewytlómaczony i nieusprawiedliwiony postrach! Wszak ciemnota jest matką nędzy a u nas zamiast zwalczać ciemnotę to ją jeszcze władze protegują i w obronę biorą! Czyż Galicya ma być i na zawsze zostać krajem nędzarzy krajem łez i niedoli? Jeżeli oświata dla milionowych mas ludu w Galicyi ma być zamknięta, to pocóż brać krwawy grosz od tego ludu na cele oświaty. Jeżeli szkoły średnie i wyższe mają być przeznaczone i dostępne tylko dla uprzywilejowanych i wybranych, to niech oni ponoszą ciężary na utrzymanie szkół a ludziom niech dadzą spokój. Panowie Posłowie ludu aż się do Was odzywamy, byście w imię krzywdzonego ludu tak w parlamencie jak i w Sejmie zabrali w tej sprawie głos potężny.

ŻÓRAW.

Żóraw mieszka na polach, lubi jednakże przebywać na błotach. Robi to dlatego, że błota, zarówno jak pola, dostarczają mu żywności. Gdy mu przyjdzie ochota na groch lub jakie inne ziarno, wędruje na pola — owadów zaś, robaków i żab idzie szukać wśród błot i trzęsawisk. A żeby mieć wygodę, mądry ten ptak obiera sobie na mieszkanie zarośla, położone między moczarami, a obszernymi daleko ciągnącymi się polami. Chociaż nigdy nie siada na drzewach, stara się jednak mieć je w pobliżu, gdyż czuje się bezpieczniejszym pod ich osłoną. Gniazdo zakłada wśród nieprzebytych trzęsawisk, między gęstą trzcina, wikliną lub szuwarem; odnaleźć je tam niezmiernie trudno, gdyż żóraw nigdy do gniazda nie podlatuje, tylko zdaleka podchodzi do niego piechotą, zgięty i pod osłoną zarośli. Z taką samą ostrożnością oddala się od gniazda.

Z jaj, niesionych w maju, po upływie czterech tygodni wykluwają się pisklęta, które rodzice ukrywają w miejscach niedostępnych, w trzcinie lub na polu w bujnym grochu, dotąd aż małe nauczą się latać. Karmią je z początku z dzioba. Gnieździć się zaczynają młode żórawie dopiero po upływie dwóch lat. Przez ten czas łączą się w stada ze swymi rówieśnikami i latają w pobliżu, gdzie się gnieźdzą stare żórawie.

We wrześniu żórawie zaczynają uczuwać chętkę do podróży, opuszczają więc miejscowość, w której przebywały przez całe lato i tysiącami gromadzą się w obranych miejscach; przebywają tam czas jakiś, aż jednego pięknego poranku naraz wzlatują wszystkie z wielkim krzykiem i puszczają się w drogę. Lecą podzielone na oddziały, czyli tak zwane klucze, wynoszące pięćdziesiąt do sześćdziesięciu sztuk; zachowują przytem wielki porządek, lecą zwykle

dwoma szeregami, ustawionemi w klin, co im pozwala łatwiej rozbijać powietrze.

Zwykle żórawie lecą tak wysoko, że ich wcale, albo bardzo mało widać i tylko w nocy opuszczają się nieco niżej. Odbywają podróż, zawsze lecąc ze wschodu ku zachodowi i w powietrznych szlakach szukają zawsze wiatru, wiejącego w tę samą stronę. Zdarza się też często, że choć blisko ziemi wieje wiatr zachodni, żórawie lecą z wiatrem wschodnim ponieważ w niebieskich przestworach natrafiły na prąd, wiejący ze wschodu.

Jeżeli w drodze spotkają coś niepokojącego, latają dokoła z głośnym krzykiem, a następnie wznoszą się wyżej i znikają w niezmiernej wysokości.

Nieraz żórawiom towarzyszą w podróży mniejsze ptaszyny a najczęściej skowronki,

Zimowe pomieszkania zajmują żórawie ogromnemi stadami; rankami wychodzą paść się na pola, poczem znowu wracają na obrane miejsca; są to zazwyczaj wyspy, albo niskie wybrzeża rzek, porośłe trawą. Tutaj starannie oczyszczają swe pióra i spędzają czas na zabawach.

W marcu małemi stadkami wyruszają z powrotem do kraju rodzinnego; często jednak zastają tam jeszcze śnieg i mróz, powracają więc znowu na zimowe leże i dopiero w kwietniu przylatują na stałe.

Żóraw należy do miłych i mądrych ptaków; jest tak ostrożny, że go złapać bardzo trudno. Raz jednak złapany oswaja się łatwo, a nawet przywiązuje się do człowieka. Pozwala się głaskać, bierze z rąk pożywienie, poznaje swego pana wśród tłumu innych ludzi, chodzi za nim ślad w ślad, jak piesek. Zachowuje się bardzo zabawnie; widząc naprzykład czubiące się koguty, krzyczy na nie i rozdziela je dziobem; gęsi wyprowadza na paszę, a potem spędza je do kupy.

Bawiąc się z jakim przedmiotem podrzuca go do góry, łapie w powietrzu, przyczem wykonywa bardzo misterne skoki. Drażnić jednak żórawia jest niebezpiecznie, gdyż rzuca się na człowieka i dziobie prosto w oczy.

W niewoli żyje 40-ści i więcej lat. W niektórych krajach polują na żórawie i jedzą ich mięso, które jest dosyć smaczne.

ZŁOTY TRON.

W francuzkiem mieście Limoż pracował niegdyś w zakładzie złotniczym ubogi młodzieniec imieniem Eljasz. Pracował tak pilnie i okazał się tak zdolnym, że sława jego szeroko się rozeszła po kraju i doszła nawet do samej stolicy, do Paryża.

Właśnie w tym czasie król francuski, Klotarjusz II, zapragnął mieć tron nowy, ze szczerego złota odrobiony. Skarbnik królewski, nie ufając paryzkim złotnikom, sprowadził Eljasza do Paryża

i przedstawił królowi, jako majstra, któremu można powierzyć zrobienie tronu.

Król rozkazał swym nadwornym złotnikom, aby wyrachowali ile potrzeba złota na odlanie tronu. Złotnicy, zazdroszcząc, że obcemu przybyszowi powierzono tak ważną robotę, umyślili zgubić Eljasza. W tym celu dali mu tak dużo złota, że można było z niego nie jeden, ale dwa trony zrobić. Niegodziwi ci ludzie wyobrażali sobie, że Eljasz pozostaną ilość złota przywłaszczy sobie.

Po skończeniu pracy, Eljasz wystawił tron przed królem. Król był bardzo zadowolony i nie mógł się nadziwić piękności i doskonałości wykończenia tronu; a chcąc Eljasza godnie za tak piękne dzieło wynagrodzić, zwołał swych złotników, aby ocenili, ile należy zapłacić za robotę tronu.

Złotnicy pod niebiosa wynosili talent Eljasza, ale zarazem podszeptali królowi, że musiał już on sobie za robotę sowiec wynagrodzić, gdyż tron o wiele mniej waży, niż dane mu złoto.

— Miłościwy królu — rzekli — rozkaż tylko zważyć tron, a prawda na wierzch wyjdzie.

Słowa te zmartwiły króla; kazał przywołać Eljasza i zapytał go, czy mu nie została choć odrobinka złota.

— Nie została mi odrobinka ani czwarta, ani nawet trzecia część złota, ale tyle, że wystarczyło mi na zrobienie drugiego takiego samego tronu.

To rzekłszy, kazał przynieść przed króla drugi tron, nie różniący się niczem od pierwszego.

Od tego czasu król obdarzał Eljasza szacunkiem i nieograniczonem zaufaniem. Syn zaś i następca jego, król Dagobert, mianował Eljasza swoim skarbnikiem i posłem.

Dożywszy sześćdziesięciu kilku lat, Eljasz rozdał ubogim cały swój majątek, a sam przywdział habit zakonny, w końcu zaś został biskupem; życie wiódł tak przykładne i bogobojne, że po śmierci policzony został w poczet świętych.

POŻARY I ZGLISZCZA

POWIEŚĆ

NA TLE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

(Ciąg dalszy).

— Aleks! — rozległo się niespokojnie drżaco.

Świda na ten głos natychmiast oprzytomniał i stanął przed nią, nie mówiąc słowa.

— Szukam ciebie od godziny. — O Boże! Tak mi słabo — dodała ciszej, opierając się o żłób.

— Bodajeś była nie znalazła — zamruczał dziko.

— Chciałeś, żebym was obu straciła jednego dnia.

— Nie byłoby na mnie krwi tego niewinnego. To jam go zabił, nieprawda, powiedz ty, tak sprawiedliwa i prawa!

— Bóg nam powie na sądzie. Nasz rozum nie starczy. Tak się lękałam, by cię szal nie ogarnął.

— Kto ci doniósł tę wieść?

— Anisimow! Naczelnik go przysłał do mnie z zawiadomieniem o zgonie, powtórzył rozkaz wyjazdu. Pochowano już go gdzieś w dół... Sledztwo dowiodło, że samochcąc zginął.

Aleksander zadrżał, i otarł pot z czoła.

— Samochcąc? — powtórzył.

— Galerya, w której pracował, podparta drzewem. Podczas pauzy południowej, on koło tego drzewa siedział. Nie zwrócono na to z początku uwagi. Potem zastał go pilnujący znowu u tego drzewa i odpędził, ale ledwie się uchylił do innych, rozległ się trzask obrywającego się sklepienia.

Władka mówiła to wszystko bardzo cichym głosem i nagle umilkła, pokazując Aleksandrowi jakąś postać, co skradała wzdłuż ściany.

Złodziej to zapewne był, bo doszedłszy ich tarantasu, przystanął i zajrzał do środka.

— Czego chcesz! — zawołał Świda.

Drab cofnął się ruchem pantery i jednym susem był na dworze.

— Opryszek jakiś — dodał młody człowiek ciszej na uspokojenie Władki, która drząc przytuliła się do niego.

— Ja się nie boję — rzekła słabo — ja tylko jestem tak zmęczona okropnie. Mnie tak źle.

Aleksander dotknął jej ręk. Paliły jak ogień. Wówczas wszystkiego zapomniał, przed nową zmorą jej choroby. Przebyte męki i cierpienia zmogły jej wątły organizm. Już oddawna tylko wola trzymała ją na nogach, ciosy ostatnich dni wyczerpały ją do gruntu. Co chwila ogarniały ją mdłości, gdy otrzeźwiała, budził ją strach i niepokój.

— Aleks, zabierz mnie ztąd — szeptała, dysząc. — Jabym tak się bała tu umrzeć i teraz. Jedźmy, gdzieś dalej, pókim jeszcze przytomna. Papiery są, opłacim dozorcę i jedźmy, o jedźmy!

— Jedźmy — rzekł. — Zaprowadzę cię do Anisimowa. Opłacisz go, pożegnasz, ja tymczasem konie założę i zajadę po ciebie. Na wolę Bożą ruszymy.

Okolo północy tarantas stał gotów do drogi. Nie dziwiono się pośpiechowi Władki, ani milczeniu jej towarzysza, który pakował resztę manatków. Za wiele stracili w Uroczyńsku, by chcieć w nim dłużej pozostać.

Dozorca, opłacony po królewsku, nie szczędził rad co do drogi, ofiarował się nawet przeprowadzić za osadę do ostatnich straży. Rodzina jego błogosławiła, to popłakiwała na przemiany.

Nareszcie Świda zgarnął lejce, przeżegnał się i obejrzał na swą panią.

— Jedź, Ignacy! — rzekła zdławionym głosem.

Dozorca towarzyszył, pocieszając na swój sposób. Straże przepuszczały ich spokojnie. Znaleźli się na wolnej drodze.

— Szczęśliwej drogi panience — pożegnał Anisimów.
— Dziękuję wam — odparła.
— Bywaj zdrów, stary — dodał do furmana.
— Żegnajcie! Dziękuję za gościnę — odparł Swida wśród turkotu bryki...

Naczelnik miał rację. W Uroczyńsku katorżnicy nie mieli nazwisk. Numer 1475 leżał w ziemi, wykreślony z liczby żyjących a Świda Aleksander wyjeżdżał na swobodę...

Konie szły jak wiatr i Uroczyńsk wnet zniknął z widnokregu. Skazaniec obejrzał się za nim raz i drugi, potem zaniepokoił się milczeniem Władki i zawołał do niej.

Odpowiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Co ci? — spytał, zatrzymując zaprzęg i pochylając się ku niej.

— Nic, nic! Jedź ztąd, jedź! Już oni gonią ciebie! Prędeż, prędeż! Jest i Czaplic z nimi! O mój jedyny! Nie daj mnie im! Uciekajmy!

Leżała w gorączce. Rękami objął głowę, szukając w niej myśli, ratunku. Ale żadnej nie było za niemi, tylko dalej naprzód. Z siedzenia zrobił jej posłanie, ułożył biedną, okrył i ruszył dalej.

— Wola Boża nad nami i jego panowanie — szepnął, zaciśkając zęby.

A konie niosły. Hołoblowy Drop, faworyt starego Makarewicza szedł jak wichur. Pod dużą dzwonek mu wybijał takt szalony, a konie przegiąwszy nozdrza ku ziemi, sadziły bez pamięci.

I nie dziw, że tak rwały naprzód. Niosły dwoje nieszczęśliwych do szczęścia, dwoje znękanych do spokoju, dwoje więźniów do swobody.

Do celu było tysiące wiorst, ale nad nimi była wola Boża i panowanie.

Dawno przestali lękać się czegokolwiek...

A za nimi coraz dalej i dalej zostawał grób Makarewicza, ostatnia jego placówka w obronie panienskiej-sieroty.

Jak chciał, tak poszedł, dobywszy straży, do starego pana ze sprawozdaniem służby...

IV.

Widmo z krwawej przeszłości.

W kasie kończono sobotnią wypłatę.

Tłum robotników małał w sieni, wylewał się na brudną przedmiejską ulicę czarnym potokiem, huczącym i zgiewliwym.

Nareszcie ostatni odeszli od okienka, z którego niepozornej głębi płynęły wszystkie pociechy i troski robotnika — nagrody i kary. Czterech miało wytrącenia z tygodniowej zasługi — piąty miał zwyżkę za nadliczbowe godziny dobrowolnej nocnej roboty. Tamci warczeli, — ten milczał, zgarniając troskliwie srebro i asygmaty w skórzany woreczek. Wyszli nareszcie razem wszyscy, za

nimi zajęczały rygle i zgaszono gaz. Ciemne gmachy fabryczne zmartwiały na niedzielną pauzę.

Ulica biegła wzdłuż Dźwiny, nabrzmiałej wiosennym rozlewem, — za rzeką rozsiadła się stara Ryga w całej okazałości.

Pięciu spóźnionych chwilę szło w milczeniu po oślizłych chodnikach. Wzdłuż ulicy szynki i piwiarnie wabiły przechodniów wrzaskliwą muzyką i drażniącymi wyziewami alkoholu. Deszczyk przytem mżył nieznośny.

— Znowu sztrafy! — burknął któryś. — Przyjdzie z głodu zdychać z żoną i dziećmi!

— Ja swoich dawno nie widzę! Gdzieś żebrzą!

— Mnie już nikt przenocować nie chce! Chwalić Boga za lato!

— Aha lato! Tymczasem zimno i mokro! Brz... żeby to wstąpić na rozgrzewkę.

— Ho! A gdzie! Wszędzieśmy zadłużeni!

— Może nas kto bogatszy poratuje. W biedzie się poznaje rzetelnego kolegę.

— I poczciwego człowieka! — dodał inny.

— Hej, złoty cielcze, słyszysz — ktoś trącił milczącego dotychczas kamrata. — A nie pędź no tak. Wstąpimy pod »kulę«. Zafunduj!

— Darujcie, koledzy. Nie mogę! — odparł tenże, dobywając z woreczka kilka srebrniaków. — Chcecie wypić za moje, to proszę, ale sam czasu nie mam.

— A to co? Czy my żebraki? Jałmużnę nam dajesz? Chodź razem — to zgoda, a nie — idź do djabła!

Człowiek odtrącone pieniądze schował napowrót i głową potrzasnął.

— Nie piję ni wina, ni piwa, ni wódki — nie wam po mnie! Do zobaczenia — rzekł odchodząc.

— A to mu do kochanki spieszno! — ktoś rzucił.

— Snać licha warta, kiedy jej taki skąpiec dogadza.

— Ot myślisz! Takie dziewczki potrafią i z krzemienia rubla wycisnąć!

— Nie dziw, że na uczciwą zabawę czasu nie ma.

— Pilno mu do niej!

Grad konceptów i przezwisk posypał się na ten temat.

Zaczepony się zawrócił. Pierwej, gdy szedł ciężko, zgarbiony i cichy, na starca wyglądał. Teraz wyprostował się, urósł i wymłodniał.

Jak piorun spadł na nich.

Chwilę słychać było razy, przekleństwa, szamotanie, potem kłęb walczących opadł i on jeden podniósł się z ziemi.

— Nauczycie się milczeć! — zaburczał, odchodząc.

Tak — już milczeli, tylko stękali, stając mozolnie na nogi.

On już był daleko, a szedł coraz prędzej. Most przeszedł i rzucił się w pierwszą wąską uliczkę starego miasta. Spieszno mu było i wstyd może ludzi, co przy świetle gazu oglądali się zdziwieni i nieufni na jego poszarpaną bluzę i pokaleczoną twarz.

W bramę którąś nareszcie wpadł, dziedziniec minął — i w naj-

dalszej oficynie, na schody wbiegł wysoko — aż do staroświeckiej facyatki. Tam u drzwi zapukał.

Klucz zgrzytnął w zamku i przed nim stanęła młoda kobieta. Spojrzała i cofnęła się.

— Co ci się stało? — spytała niespokojnie.

— Nic. Upadłem po cieniu! A tu spokojnie?

— Spokojnie. Wychodziłam o zmroku. Robotę odniosłam i czekałam na ciebie. Boże, jakiś biedaku pokaleczony.

Pokoik był miniaturowy i bardzo ubogi. Człowiek zamknął za sobą drzwi i usiadł przed stolikiem, zarzuconym świeżo skrapianą bielizną. Kobieta troskliwie zmyła wodą jego twarz i ręce poszarpane, a potem dobyła z piecyka robotniczy posiłek i postawiła przed nim.

Ale on zamiast jeść, z woreczka wytrząsł pieniądze i podał jej.

— Dziewięć i pół rubli! — rzekł z uśmiechem.

— Aż tyle! — odparła zdziwiona.

— Robiłem w nocy. Dużo tak można zarobić!

— To dlatego tak się spieszyłeś codzień... niby do snu. Oszukiwałeś mnie!

— Chciałem cię ucieszyć! Jak tak pójdzie, za trzy tygodnie będziemy mogli za ocean wypłynąć.

— Czemu nie jutro? — westchnęła.

— Mówiono mi, że jutro odchodzi »Anna Luiza« do Hamburga! — rzekł, podpierając czoło i zamyślając się posepnie.

— Na twój przejazd wystarczy! — ozwał się znowu — jedźmy. Mnie wezmą darmo... za robotę!

— A tam znowu zostać bez grosza, w obcym świecie. Nie, Aleks, cierpliwości!

— Cierpliwości! — powtórzył z goryczą. — Tobie łatwo ona przychodzi, boś święta... a ja człowiek tylko. I człowiek, co dosyć sędzę, miał cierpliwości, by wreszcie osiągnąć to, o czym żywot cały przemarzył.

Zapanowała chwila milczenia. Kobieta zbladła bardzo i smutnymi oczami, jakby z wyrzutem, spojrzała ku niemu. Brwi miał zmarszczone i ponury bunt w twarzy.

— Nie godzi się narzekać, Aleks, przebywszy tyle i tak mężczyźnie jak ty dotąd! — szepnęła.

— Właśnie dlatego! — zamruczał — milczałem na etapach i w Uralu. A teraz milczeć nie chcę! po co mi dałaś swobodę, po coś mnie śmierci wydarła, a teraz nie chcesz moją być! Lepiej mnie rzuć samego, kiedy szczęścia dać nie chcesz!

Wstała żywo i podeszła do okienka. Deszcz pluskał o szybki, oparła o nie czoło i przymknęła oczy. Ciężko podnosiła się pierś, a po chwili z pod powiek zbiegło łez kilka cichych — bez łkania żadnego.

Wybuch jego zcichł, podniósł głowę, poszukał jej oczami i podszedł.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

Cesarz Wilhelm w Poznaniu. Uroczystości cesarskie w Poznaniu »należą już do przeszłości«. Para cesarska wróciła już do Poczdamu — spędzeni ze wszystkich stron Księstwa Niemcy, znużeni i wygłodzeni, bo nie dbano podobno wcale o ich »dobro cielesne« rozjechali się do swych penatów, i miasto przybiera znów zwykły swój przeważnie polski wygląd, który mieć będzie i wówczas, gdy o tej wizycie cesarskiej świat zupełnie zapomni.

Ludność polska, z wyjątkiem nielicznej garstki karyerowiczów, spekulantów na grosz niemiecki i gapiów, do ostatniej chwili dotrzymała uchwalonej abstynencji. »Goniec« pisze: Kto zna stosunki poznańskie, ten musiał widzieć jasno abstynencyę ludności polskiej. I dziwna rzecz, iż nawet ciekawość ogólna ludzka nie udzielała się ludności polskiej — ogół, jakby się sprzysiągł, stał na uboczu. Nieliczne więc wyjątki tonęły wśród Niemców. Tych, którzy wyłamali się z ogólnej rezerwy i albo udekorowali domy lub iluminowali, wymienia »Goniec« po nazwisku. Są to przeważnie kupcy i restauratorzy, lecz jest także kilka osób z inteligencji. Z tej kategorii wymienić należy radcę zdrowia dra Zieliwicza i właścicielkę pensyi panią Estkowską, staruszkę, wdowę po sławnym Ewaryście, znakomitym pedagogu. Co ją do tego skłoniło, łatwo się domyśleć.

Dekoracya miasta kosztem kasy miejskiej pochłoneła podobno przeszło 200.000 marek, Świerkowe girlandy sprowadzono podobno z tej przyczyny aż z Harcu, ponieważ, jak donosi »Vorwärts« polscy właściciele lasów nie chcieli dać gałęzi na ten cel. Wielki zawód spotkał restauratorów, rzeźników i piekarzy. Zaopatrzyli się oni w ogromne zapasy wiktuałów i napojów, tymczasem oszczędni Niemcy z prowincyi bynajmniej nie popuszczali pasa, lecz ograniczyli się na niezbędne wydatki, wskutek czego spekulanci na ich gardła i żołądki dotkliwie ponieśli szkody. Usposobienie wśród Niemców poznańskich nie jest podobno dziś zbyt podniosłe.

Także spodziewany deszcz orderów i tytułów nie odpowiadał oczekiwaniom. Wielu biurokratów i obywateli niemieckich przykry spotkał zawód. Naczelny prezes dr Bitter oraz prezydent komisji kolonizacyjnej Wittenberg otrzymali tytuły rzeczywistych tajnych radców z prejudykatem ekscelencji, starszy burmistrz poznański tytuł radcy regencyjnego. Rzekomo »pojednawcza tendencya« wizyty cesarskiej względem Polaków charakteryzuje doradców... odznaczenie dwóch »ojców« hakatyzmu: Kennemanna i Tiedemanna, których cesarz zaszczycił rozmową, nadto obdarzył wysokim orderem korony II-giej klasy z gwiazdą i mieczami. Jakże zazdrościć im musi szambelan Morawski! Nadto hr. Bülow publicznie wieszował obu hakatystom »sukcesów w obronie niemczyzny na kresach«.

Tum poznański wraz z złotą kaplicą, zawierającą prochy Mieczysława i Bolesława Chrobrego, zwiedziła tylko cesarzowa.

Kaplica ta podobała się podobno bardzo cesarzowej. Czy

przeszło jej tam może także na myśl, że »fortuna variabilis«, tego nie dowiaduje się nawet »Dziennik Poznański«.

O treści rozmowy cesarza z arcybiskupem na audyencji — nie dotychczas wiadomo.

Ciekawą wiadomość podają równocześnie londyńska »Daily Mail« i berlińska »Deutsche Zeitung«. Donoszą, że oficerowie rosyjscy, mieszkający w polskim Bazarze, bratali się z Polakami i »śpiewali polskie pieśni« (!??). »Deutsche Ztg« pyta, za co gen. Czertkow otrzymał order Czarnego orła? Chyba, że zgodził się na umówioną tu wspólnie politykę antipolską; ale o tem, przyznaje »Deutsche Zeitung«, mowy być nie może.

Prasa niemiecka podnosi dziś ważność wizyty cesarskiej dla żywiołu niemieckiego w Poznaniu. Wzmocniła ona ducha wśród Niemców, a przekonać powinna Polaków, że polityka niemiecka względem nich nigdy się już nie zmieni, że raz na zawsze wyrzec się muszą wszelkich swych marzeń. »Berliner Tageblatt« pisze, że Polacy wiedzą teraz, iż rychlej nie nastąpi zgoda między nimi a Niemcami, dopóki pierwsi nie będą się czuli dobrymi Prusakami, W dalszym ciągu szczerze organ ten na duchowieństwo polskie, jako podtrzymujące w ludzie polskim ducha opozycyi.

»Koelnische Zeitung«, pisząc o mowie cesarza Wilhelma w Poznaniu, wyraża się, że mowa ta jest pod każdym względem dobrze obmyślonym i dobrze oddanym obrazem programu cesarza w kwestyi pojskiej. Jeżeli Polacy w swoich dziennikach nie chcieliby ogłosić tej mowy, należałoby ją ogłosić plakatami.

W jakim języku — czy po polsku?... Prasa nadreńska raz wreszcie winna sobie wybić z głowy urojenie, że polska prasa boi się takich enuncyacyj cesarskich, oraz ich wpływu na ludność polską. Lud polski bardziej dziś nienawidzi Niemców, niż szlachta i inteligencya. — A ma chyba za co ich nienawidzić!

Cesarska łaska. Pierwszem widocznem następstwem bytności Wilhelma w Poznaniu są mianowania i odznaczenia. Posypały się tytuły i ordery na rozmaitych służków pruskich i to nikogo nie wzrusza, ale z pośród nazwisk utytułowanych i upstrzonych orderami panów, dla nas zasługują na uwagę dwa. Oto, że między niemi znajduje się Polak Henryk Dzierżkraj-Morawski, który otrzymał order Czerwonego orła, ale aż IV klasy. Tak nisko oszacowano ostentacyjne rozbijanie się tego szlachetki za orszakiem cesarskim. Razem z nim i takie samo odznaczenie otrzymał Winter, inspektor szkolny we Wrześni, który popierał katowanie dzieci polskich. To już dowód lekceważenia, rzucony przez Wilhelma całemu społeczeństwu polskiemu.

Podczas wjazdu cesarza Wilhelma do Poznania uderzało wszystkich, że dużo miejsc na trybunach było pustych. Obecnie wyjaśnia się to w ten sposób, że miejsca te zamówili dla siebie i rodzin swych polscy członkowie Rady miejskiej z powziętym z góry zamiarem nie zajęcia ich podczas wjazdu. Radni polscy pragnęli przez to w dobitny sposób zaznaczyć swą nieobecność

podczas przyjęcia. Podobnie miała się, rzecz podczas rewji 5 korpusu pod Ławicą, gdzie trzeba było 300 miejsc, w tym samym celu zamówionych przez Polaków, obsadzić weteranami, aby cesarza nie raził widok pustych ławek. Donoszą także z Poznania, że podczas swego tamże pobytu, cesarz Wilhelm nadał order korony 2 klasy, osławionemu Kennemarnowi, jednemu z trzech inicjatorów i organizatorów głośnej hakaty.

Poznań rezydencją Hohenzollernów. Do gazet wiedeńskich telegrafują z Berlina, że cesarz Wilhelm wyraził się z wielkiem zadowoleniem o pobycie swym w Poznaniu. W kołach dworskich obiega pogłoska, iż książę następca tronu ma przez pewną część roku rezydować w Poznaniu, aby wpływać na stosunki tamtejsze wspianłością dworu swojego.

Szwajcarya. Między Szwajcaryą i Włochami znajduje się wielka góra Simplon, w której budują obecnie najdłuższy tunel w Europie. Przy budowie pracuje obecnie 3800 robotników, przeważnie włochów, którzy kopią codziennie 8 metrów (z górą 15 łokci). Ciepło w środku wynosi 28 do 30 stopni. Osobne maszyny odświeżają powietrze przy robotach. Wielkie to przedsięwzięcie będzie ukończone za kilka lat.

Ameryka. W Stanach Zjednoczonych istnieją zmywy przemysłowców. Robi się to naprzykład tak: jest kilku wielkich właścicieli kopalń rudy żelaznej; każdy stara się sprzedać swój towar taniej, żeby go sprzedać więcej. Potem zawierają ze sobą związek, który nazywa się trust i zaraz potem wszyscy ogromnie podnoszą ceny. Traci na tem oczywiście ludność, która za towar drożej płaćć musi. Zwrócił na to uwagę prezydent Ruzwelt i powiedział, że rząd będzie przeszkadzał tym trustom obdzierać ze skóry biedaków. Dobrze zrobił, ale naczelnicy trustów obrazili się i zapowiedzieli, że nie będą popierali swojemi wpływami i pieniędzmi ponownego wyboru jego na prezydenta. Tymczasem on na to nie uważa, bo da sobie radę i sam przy pomocy tych mas ludu, które bardzo skarżą się na wysokie ceny wszystkiego, nawet pożywienia, nałożone przez trusty. Związki te zagarnęły wszystko; istnieje trust żelazny, węglowy, naftowy, mięsny, mleczny, zbożowy, cukrowy itd. Przez to panuje tu ogromna drożyzna.

Ten sam prezydent Ruzwelt powiedział mowę, że każdy z narodów, zamieszkujących Amerykę, sam musi się troszczyć o własną przyszłość, a Stany Zjednoczone będą pilnowały, aby się nikt do tego nie wtrącał. Znaczy to poprostu, że rząd nie pozwoli państwu europejskim mieszać się do spraw amerykańskich. Słowa te są bardzo ważne wobec ciągłych wojen bratobójczych w Ameryce południowej i środkowej. Przy ogniu tych walk państwa europejskie radeby upiec własne pieczenie i coś zagarnąć, a tu mocny Jankes woła na nie: wara! to moje, tego ruszać nie wolno.

Transwal. Od lipca wycofali ztąd Anglicy 80 tysięcy wojska. Do 7-go b. m. jeszcze odpłynie 20 tysięcy. Złapano tu statek, który pod pokrywką innych towarów przemycał broń i naboje. Ponieważ burowie siedzą cicho, więc broń ta była przeznaczona pewnie

dla czarnych krajowców, którzy zaczynają się burzyć. Aby zapobiedz zaburzeniom, wysłali anglicy znaczny oddział wojska ku granicy zachodniej.

Kronika i rozmaitości.

Z Rady powiatowej krakowskiej otrzymujemy następujące sprostowanie:

W r. 1899 po powodzi Wydział powiatowy wniósł do c. i k. Komendy I. korpusu w Krakowie podanie o uwolnienie z powodu klęski powodzi od ćwiczeń wojskowych rezerwistów z gmin powodzią dotkniętych, w podaniu szczegółowo wymienionych. C. k. Komenda I korpusu pismem z dnia 26 lipca 1899 Nr 5147 odmówiła tej prośbie, wyjaśniając, że względny wojskowe nie dopuszczają ogólnego uwolnienia od ćwiczeń wojskowych rezerwistów z zalanych powodzią gmin, jedynie na poszczególne prośby przez rezerwistów wniesione, a przez c. k. starostwo potwierdzone, c. k. komenda uzupełniająca pułku będzie uwalniać od ćwiczeń tych rezerwistów, co do których zachodzą bardzo ważne powody.

Ponieważ powyższe pismo c. k. komendy korpusu jest wprost sprzeczne z tem, co Szanownej Redakcyi oświadczyła nieoznaczona bliżej komenda wojskowa, a od r. 1899 nie wydano, o ile wiemy, żadnych innych w tej sprawie przepisów, przeto dla zbadania, które z tych dwóch sprzecznych świadczeń jest zgodne z prawdą, prosimy Szanowną Redakcyę o dokładne oznaczenie wspomnianej w odnośnym artykule c. i k. komendy wojskowej.

Kraków dnia 31 sierpnia 1902.

Odnośnie do powyższego sprostowania oświadczamy, że urzędowego zawiadomienia nie otrzymaliśmy, a prywatna informacja na razie nie nadaje się do publikowania po imieniu, kto jej udzielił, dosyć, że pochodzi z kompetentnego i pewnego źródła.

Nr. 8 (na sierpień) „Przewodnika zdrowia“ (Czarnowski, Berlin, Karlstrasse 32) wyszedł i zawiera: Treść: Jak obchodzić się z nerwowo chorymi. Wedle prof. Krafft-Ebinga. — Bezwład czyli porażenie i zapobiegania temu. — Przestrogi i rady: Nieszkodliwy środek do barwienia włosów. — Ocet z niedojrzałych owoców. — Trujące środki do barwienia włosów. — Ostrożność przy spożywaniu raków. — Rozmaitości: Palenie zwłok. — Lata suche i mokre. — Nędzia wśród lekarzy w Niemczech. — Opilstwo Niemców. — Lekarze szkolni w dawnej Polsce.

Ostrzeżenie dla emigrantów galicyjskich. Minister-rezydent w Buenos Ayres zawiadomił austriacki rząd centralny, że nie przyjmują już tam obecnie wychodźców, mających zamiar osiedlić się w kolonii Apostoles, ponieważ ta jest już kompletnie zapelnioną i wysyłają wszystkich emigrantów do kolonii Azara. Ministerstwo zawiadomiło o tem prezydium namiestnictwa, a to ostatnie Wydział krajowy. Skutkiem tego Wydział krajowy wystosował do wszystkich wydziałów powiatowych okólnik komunikujący im tę wiadomość, z poleceniem ogłoszenia jej w gminach, w których emigracya do Ameryki, a w szczególności do Brazylii jest rzeczą zwykłą.

Do bocianów nie wolno strzelać. W Niemczech na karę pieniężną skazany został pewien obywatel, który zastrzelił bociana. Zasadzony wniósł apelacyę do kamergerychtu, który wyrok pierwszej instancyi potwierdził, uważając, że bocian należy do ptaków nietylko nieszkodliwych, ale przeciwnie przynosi korzyść rolnictwu przez tępienie gadów.

Nędza zagranicą. Jeden z naszych rodaków, od dłuższego czasu przebywający zagranicą i znający dobrze stosunki zamieszkałych lub przybywających Polaków do Szwajcaryi, Anglii i Francyi, przysłał nam swoje uwagi, które służyć mogą za ostrzeżenie dla tych wszystkich, którzy lekkomyślnie, bez potrzeby opuszczają kraj rodzinny.

Nieraz spotykałem zagranicą — pisze nasz korespondent — młodych rodaków bez najmniejszych środków do utrzymania, w większości wypadków bez znajomości języka. Na dziesięciu z nich przynajmniej siedmiu nie zacerpnęło informacji przed wyjazdem z kraju. Zwykle wyjeżdżają na traf, na zapytanie zawsze odpowiadając: „jakoś to będzie“.

Dobrze, jeżeli który z nich przyjedzie do Szwajcaryi, gdzie zwykle Polonia studencka jest licznie reprezentowana. O ile przyjezdny chce studyować i stan Bratniej pomocy na to pozwala, wydaje się mu stypendyum, lub w przeciwnym razie odsyła się go na wspólny koszt z powrotem do kraju. Inaczej się dzieje w wielkich miastach angielskich i francuskich, gdzie wielka liczba t. zw. „chodźków“ uniemożliwia akcyę ratowania przywoitych jednostek.

Zaledwie przed kilkoma dniami spotkałem tego rodzaju bezdomnego rodaka na bulwarach paryskich. Widząc ślaniającego się człowieka, zapytałem, co mu jest?

„Nie miałem od trzech dni nic w ustach“ — była odpowiedź, wypowiedziana bardzo źle po francusku. Dalej dowiedziałem się, że jest Polakiem, od trzech miesięcy przebywa w Paryżu. Rodem z Galicyi, z zawodu, buchalter, przyjechał do Paryża w celu poznania miasta i nauczenia się języka. Co do utrzymania, myślał jak inni: „jakoś tam będzie“. Po wyzbyciu się z resztek garderoby, przez jakiś czas zarabiał na chleb sprzedawaniem kart reklamowych na ulicach, na czem po całodziennem bieganiu zarabiał przeciętnie około franka dziennie. Gdy i tego brakło, ofiarował się z robotą pewnemu kuśnierzowi, chcąc pracować dziewięć godzin dziennie za franka, ten jednak już był znalazł sobie tańszych robotników.

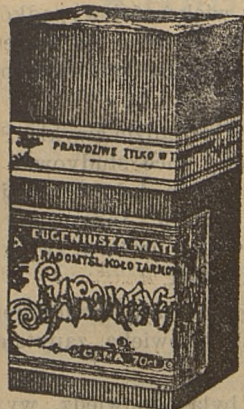
Poradziłem biedakowi udać się do konsulatu austriackiego z prośbą, by go odesłał do kraju. Był już tam. Lecz konsulem w Paryżu jest bar. Rotschylld, do którego wstęp jest dla biednych niemożliwy. W kancelaryi konsulatu proszącemu kazali się zwrócić do Towarzystwa dobroczynności w Paryżu, lecz tu z Polakami nawet mówić nie chcą...

I w dalszym ciągu opisuje nasz rodak smutny stan takich różnych dobrowolnych emigrantów polskich na obczyźnie, którzy zwabieni mylnemi wieściami o olbrzymich a łatwych zarobkach, giną częstokroć śmiercią głodową na brukach Londynu, Genewy lub Paryża.

Z targów zbożowych. Kraków, dnia 9 września. Płacono za 100 kilogr. netto Pszenica od 14— do 15·70; — Żyto od 12— do 13·80; Jęczmień od 12·10 do 13—; — Owies z opłatą akcyzową od 12·50 do 13—; — Groch od 18— do 26—; — Tatarka od 14— do 19—; — Proso od 11— do 14—; — Fasola od 14— do 18—; — Jagły od 18— do 24—; Siano od 4·60 do 5·60; — Słoma od 4— do 4·40; — Koniczyna na paszę od 5·60 do 6—; — Ziemniaki za hektolitr od 2·80 do 3·60; — Jaja za kopę od 2·70 do 3·20; — Masło za garniec od 6·30 do 7—. Wszystko liczono w koronach.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcja żadnej odpowiedzialności.

Najwyższe odznaczenie na wystawach światowych w Paryżu, Londynie, Wiedniu i Marsylii, dyplomy honorowe i złote medale otrzymał



„SAPOMENTHOL“

wyrobu **EUGENIUSZA MATULI**

aptekarza w Radomyślu koło Tarnowa (Galicya). Maść ta znana od lat wielu ze swej skuteczności używaną bywa przez P. P. Lekarzy przeciwko cierpieniom reumatycznym, gościowym, suchym bólom i pokrewnym.

Cena za mały słoik 1 kor. 40 hal., za duży 5 koron. Po otrzymaniu należytości lub za zaliczką wysyła dwa razy dziennie wprost: Apteka i Laboratorium chem. farmaceut. Eugeniusza Matuli, Radomyśl koło Tarnowa (Galicya), gdzie też zamówienia przesyłać należy.

Przesyłając pieniądze, dołączyć należy 72 h. na przekaz i opłatę pocztową.

Żądać wyraźnie: **SAPOMENTHOL** wyrobu **EUGENIUSZA MATULI** i przyjmować tylko oryginalny w opakowaniu, jak obok rysunek. Ostrzega się przed naśladownictwami. Nazwa, opakowanie i marka ochronna prawnie zastrzeżona.

40 morgów pszennej gleby

w całości lub częściowo, w powiecie stryjskim pod korzystnymi warunkami ma zaraz do sprzedania **Wacław Pikaus** w Tejszarowie, pow.

Bilcze-Wolica.

1-3

ŻUŻLE.

Mączka Tomsa do nabycia za gotówkę i na kredyt w handlu

JÓZEFA KRAWCZYŃSKIEGO

w Nowym Sączu, ul. Lwowska.

2 — 3